

# Z OPERETKI

## Gliwicka „Tangolita“

Stara, ale jara operetka Abrahama „Bal w Savoyu“, należy do repertuarowych „pewniaków“. Na fali melodyjnej, łatwo lgnącej do pamięci muzyki, płynie wartka i zabawna akcja, w miarę banalna i w miarę pikantna. Jest tu markiz w cylindrze niewinnie okłamujący żonę i owa żona markiza, mszcząca się w zamian pseudozdradą, jest zabawny attache tureckiego poselstwa, jego sześć eks-żon i siódma żona in spe, pełna wigoru i temperamentu, jest szatańska Tangolita, „mały, słodki wampir“, nieśmiały dependent adwokacki — słowem galeria typków „po wsia- kich prawidłał iskustwa“ — jak powiadają Rosjanie.

Wykonaniem „Tangolity“ zespół Państwowej Operetki z Gliwic, występujący gościnnie na Puławskiej, w pełni zrehabilitował się po niefortunnym początku ze słusznje zapomnianą komedijką Youmansa „No, no, Nanette!“. Muzyka Abrahama przypięta zespołowi skrzydła i umożliwiła zabłyśnięcie wszystkimi walorami. Bynajmniej nie przez kurtuazję zaczną od picia słabszej, która w tym wypadku stanowi stronę silniejszą. Maria Artykiewicz pokazała w roli żony markiza łwi pazur aktorski, czarując wdziękiem, lekkością, ową szkołą „przymrużonego oka“, pozwalającą przyjąć za dobrą monetę wszystkie najności operetkowych perypetii. Jej czyste i dziewiczy sopran otrzymał narzeczcie pole do popisu. Leokadia Zienko zbierała zastużone oklaski za grę, urodę, miły głosik, a przede wszystkim za świetny taniec. Niewątpliwie ta utalentowana, młoda artystka, o ile nie zdradzi operetki z baletem, który był domeną jej pierwszych sukcesów, zapowiada się na prawdziwą chlubę naszej sceny operetkowej. Wrzescie na słowa uznania zasłużyła Ada Kalińska w roli demonicznej Tangolity, dając nam poznać swe niemałe możliwości głosowe.

Z panów na czoło wysunął się niewątpliwie Aleksander Sawin w roli Mustafy-Beja, jakby stworzonej dla tego artysty. Jego żywiołowy humor i temperament nadawali tempo całemu przedstawieniu. Kilka duetów Sawina i Leokadii Zienko powiało operetką najwyższej próby i spotkało się z żywiołowym przy-



jęciem publiczności. W miarę śmiesznym i w miarę serio markizem był rutynowany aktorsko Michał Ślaski. Zespół tańczeno-wokalny tym razem okazał się postużnym i zdolnym materiałem w ręku reżysera przedstawienia — Arny Czaykowskiej.

Orkiestra pod batutą Zbigniewa Lipczyńskiego miała dobre tempo, choć brzmienie jej pozostawia jeszcze wiele do życzenia. Dekoracje nie przeszkadzały aktorom, a w drugim akcie zasłużyły z racji pomysłowości na pochwałę.

Gliwickiego „Bal w Savoyu“ nie powstydziliby się żadna scena. Cieszę się mogąc stwierdzić, że moja wiara w możliwości zespołu, którą podkreślałem w poprzedniej, może surowej recenzji, znalazła pełne potwierdzenie. Czekamy na ostatnią pozycję, podobnie jak poprzednie nie graną po wojnie w Warszawie — „Bal w operze“ Heubergera. Zobaczymy, który bal lepszy.

MIECZYSLAW RADOST